

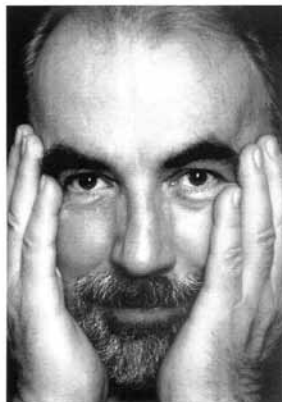
TAKIE BYŁY POCZĄTKI, CZYLI CO KOMU ZAWDZIĘCZAM

Sześćdziesiąt dwa lata temu, bodajże w czerwcu 1959 roku, zadebiutowałem w „Odrze” recenzją powieści Tadeusza Hołujy *Koniec naszego świata*. Nie, to nie pomyłka. Zanim bowiem powstał miesięcznik „Odra”, wychodził we Wrocławiu od 1958 roku dwutygodnik o tym tytule, importowany z Opolą.

Redaktorem był Tadeusz Lutogniewski, bliski sąsiad, zaprzyjaźniony z moimi rodzicami, któremu zawdzięczam pierwsze wtajemniczenia teatralne. Przez kilkanaście lat recenzował wrocławskie premiery na łamach tutejszej prasy. Często zapraszał mnie do teatru i zazwyczaj długo dyskutowaliśmy o obejrzanym przedstawieniu. Echa tych rozmów odnajdywałem w jego recenzjach, które skrzętnie gromadziłem w swoim archiwum. W jakimś stopniu przyczynił się do wyboru tematu mojej pracy magisterskiej, poświęconej omówieniu poglądów na dramat i teatr w okresie romantyzmu (ukazała się w piątym tomie „Prac Literackich” w roku 1963). Gratulowałem mu, gdy w marcu 1961 roku został redaktorem naczelnym „Odry” i serdecznie uściskałem, kiedy w następstwie nagonki antysemitkiej został w 1968 roku odwołany.

Mojemu debiutowi patronował Stanisław Pietraszko, wówczas starszy asystent w Katedrze Literatury Polskiej, który z kilkoma wybranymi studentami prowadził nieformalne konwersatorium z literatury i kultury współczesnej. Zaczynem naszych dyskusji były przeważnie nowości wydawnicze (np.

odra
nagroda 2005



Janusz Degler

Odmiany czasu Michela Butora, *Gumy* Robbe-Grilleta, *Obcy* i *Upadek* Camusa). Coraz częściej jednak oddalaliśmy się od literatury. Spieraliśmy się o strukturalizm, psychoanalizę (ukazał się wtedy *Wstęp do psychoanalizy* Freuda), antropologię (*Smutek tropików* Lévi-Straussa poda-

waliśmy sobie z rąk do rąk), z niemałym trudem zgłębialiśmy zasady cybernetyki wyłożone w *Sztucznym myśleniu* Pierre'a de Latila. Na początku 1959 roku Pietraszko zaproponował, abyśmy spróbowali swych sił jako krytycy, zachęcając możliwością debiutu w „Odrze”. Mieliśmy zacząć od recenzji nowości wydawniczych. O oświęcimskiej powieści Hołuja napisałem długi elaborat, który Pietraszko skrócił o połowę i wygładził stylistycznie. Cierpliwie tłumaczył mi sens poczynionych poprawek, dając do zrozumienia, że zwięzły styl nie jest wadą, lecz zaletą. Dobrze zapamiętałem tę lekcję i do dziś staram się przestrzegać tej zasady.

Po egzaminie magisterskim profesor Jan Trzynadłowski zaproponował mi pracę w Wydawnictwie Ossolineum. Rozpocząłem ją w dziale korekty, którym kierowała niezwykle wymagająca Janina Kosińska. Jak każdy polonista miałem kłopoty z interpunkcją. Widząc, że sobie nie radzę i musi po mnie poprawiać adiurowane teksty, dała mi do domu korektę osobliwego tekstu, który przypominał strumień świadomości. Bez wyraźnego początku i końca, pełen błędów ortograficznych, nie zawierał żadnych znaków interpunkcyjnych. Był to poemat Tymoteusza Karpowicza *Historia białopiennego źródła*. Miałem poprawić ortografię i wprowadzić interpunkcję. Pół dnia spędziłem w ossolińskiej bibliotece, przeglądając kilka podręczników gramatyki, a potem kierując się zawartymi w nich regułami, skrupulatnie opatrzyłem cały poemat w niezbędne znaki interpunkcyjne. Szefowa pochwaliła i oddała korektę Aldonie Kubikowskiej, kierownicze działu literatury współczesnej, a ona pokazała ją w mojej obecności autorowi. Znaliliśmy się od czasu, gdy z powodzeniem zaliczyłem u niego zajęcia z poetyki, które prowadził na drugim roku polonistyki. Wywiązała się poważna rozmowa, bo dociekliwie pytał o powody wielu decyzji korektorskich. Podobno korektę zatrzymał „na pamiątkę”. Poemat ukazał się, oczywiście w wer-

sji oryginalnej, w kwietniowym numerze „Twórczości” z 1960 roku.

Spotykaliśmy się często w tramwaju jadącym na Krzyki. Powojenne władze Wrocławia prowadziły przemyślaną politykę osiedlowo-mieszkaniową. Profesorowie lwowscy dostali wille na Oporowie, lekarze na Biskupinie, pracownicy administracji na Sępolnie, dziennikarze i artyści na Krzykach, w pobliżu budynku Polskiego Radia, w którym przez pierwsze dziesięciolecie koncentrowało się życie kulturalne miasta. Karpowicz mieszkał w okazałej willi przy ul. Krzyckiej. Dorastałem w otoczeniu znakomitych osób. Najbliższym sąsiadem był Tadeusz Banaś, krytyk teatralny i kierownik artystyczny Polskiego Radia. Willę naprzeciwko zajmował znany aktor Artur Młodnicki, właściciel 24 kotów, z których każdy miał imię diabelskie. Romuald Cabaj, autor uroczej *Ballady bolkowskiej* i kilku powieści o Dolnym Śląsku, udzielał mi lekcji łaciny, którą zazwyczaj zaczynał od recytacji kilku fragmentów Liwiusza. Moim kolegą szkolnym był Antek Dzieduszycki. Często zapraszał mnie na ulicę Kampinoską, do swego pokoju w pięknej willi rodziców, których koncerty w dużym studio Polskiego Radia cieszyły się wielkim powodzeniem. Pracę magisterską przepisałem na maszynie użyczonej przez Zygmunta Falkowskiego, subtelny krytyk literackiego i teatralnego, współpracującego z „Wrocławskim Tygodnikiem Katolickim”. Wszyscy spotykali się w małym sklepiku pana Pleśniaka na rogu ulicy Wiosennej, który udzielał bezterminowych kredytów.

Podczas jednego z naszych spotkań Karpowicz, który był jednym z redaktorów miesięcznika „Odra”, zaproponował mi pisanie recenzji literackich i na początek wręczył powieść *Zarówka* Tadeusza Mikołajka, nietuzinkowej postaci ówczesnego środowiska literackiego. Nie musiałem jej czytać, bo od niej zacząłem pracę w korekcie. Dzięki temu mogłem poznać autora, który po ukazaniu się powieści zaprosił mnie do kawiarni w Klubie MPiK na placu Kościuszki. Było to miejsce magiczne. Jak w dawnym salo-

nie spotykali się tu znani artyści, pisarze i aktorzy z Igorem Przegrodzkim na czele. Przychodził po każdej próbie i wdawał się w rozmowę ze znajomą sprzedawczynią prasy w sąsiedniej sali. W kawiarni zapadała cisza. Wszyscy wsłuchiwali się w jego donośny głos z lekkim zaśpiewem wileńskim, gdy opowiadał anegdoty i ploteczki zza kulis. Sam był bohaterem dziesiątek anegdot i najbardziej znaną postacią Wrocławia.

Szybko uporałem się z recenzją *Żarówka* i zaniósłem ją do redakcji „Odry”, mieszczącej się przy ulicy Podwał. Karpowicz znany był z surowych sądów. Nieco stremowany czekałem na ocenę. Tekst uważnie przeczytał, poczynił kilka uwag na marginesie i zwrócił do poprawy. Zrozumiałem, że nie będzie drukowana. *Żarówka* jednak doczekała się recenzji wytrawnego krytyka. Nie zrażony niepowodzeniem przyjąłem propozycję napisania o zbiorze opowiadań *Czas słońca* szczecińskiego pisarza Ireneusza Gwidona Kamińskiego. Tym razem przeczytał ją Lutogniewski i recenzja *Nowelistyka z warsztatu powieściopisarza* ukazała się w czwartym numerze „Odry” (1961). Dalsza współpraca miała charakter sporadyczny i po opublikowaniu recenzji książek Leszka Proroka (*Potop odwołany*), Barbary Nawrockiej (*Pojedynek z pamięcią*), Mariana Sobańskiego (*Teatr polski na Śląsku 1922–1939*), niemieckiej antologii współczesnych opowiadań polskich Lachmanna (*Moderne polnische Erzähler*) zakończyła się w 1968 roku omówieniem niemieckiego przekładu *Nienasyceńca* Witkacego.

Wtajemniczenie w jego twórczość zawdzięczam Pietraszce. Byłem po lekturze tej powieści, którą PIW wydał w 1957 roku na fali popaździernikowych przemian. Doszczętnie zrujnowała ona moje szkolne wyobrażenia o literaturze. W zrozumieniu jej nowatorstwa pomogła mi obszerna recenzja Pietraszki w „Nowych Sygnałach” (1957, nr 25 i nr 26), który w tymże tygodniku opublikował fragment rękopisu młodzieńczej powieści Witkiewicza *622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta*. (1957, nr 37). Podczas jednego z naszych spotkań zapytałem go, gdzie można ją

przeczytać. Okazało się, że u „sąsiadów”, tj. w Dziale Rękopisów biblioteki ossolińskiej, ale studenci muszą mieć rekomendację pracownika naukowego, aby móc korzystać ze zbiorów. Pietraszko od ręki ją napisał i pewnego dnia w czytelni rękopisów zagłębiłem się w lekturze grubego foliału, zawierającego manuskrypt *622 upadków Bunga*. Potem przysłała kolej na rękopisy i maszynopisy autorskie dziewięciu nieznanych dramatów, pierwszej części powieści *Jedynie wyjście* oraz obszernej *Polemiki z krytykami*. W 1953 roku zakupił je od Jadwigi Witkiewiczowej dyrektor Ossolineum, Franciszek Pajączkowski, co wymagało odwagi, bo Witkacy był na liście autorów zakazanych przez cenzurę. Fragment *Polemiki z krytykami* opublikowałem w „Pracach Literackich”, na co zwrócił uwagę Jerzy Timoszewicz, który zaproponował druk całości w numerze „Pamiętnika Teatralnego”, poświęconego Witkacemu z okazji trzydziestej rocznicy śmierci (1969, z. 3). Natomiast dla „Odry” opracowałem fragment rękopisu *622 upadków Bunga* (1972, nr 4). Od tych pierwszych prób edytorskich prowadzi długa droga do ostatniego 25. tomu *Dzieł zebranych* Stanisława Ignacego Witkiewicza, który właśnie się ukazał w PIW-ie. W tej drodze bardzo się przydały doświadczenia trzymiesięcznej pracy w ossolińskiej korekcie.

Z gościnnych łam „Odry” korzystałem wiele razy, za co jestem wdzięczny. Czytam ją regularnie od pierwszego numeru. Szybko wyzwoleła się z ciasnych ram pisma regionalnego i wypracowaną formułą dorównuje najlepszym periodykom europejskim. Mógłbym wymienić długą listę tekstów, które odegrały ważną rolę w moim życiu, miały wpływ na światopogląd i wybór określonych wartości. Niejednokrotnie rozmawiałem o tym z Tadeuszem Różewiczem podczas naszych spacerów w parku Południowym, który kiedyś z właściwą sobie ironią wyznał: *Ja też „Odrę” lubię, bo mnie drukują i dali mi za to nagrodę...*

Droga Redakcjo – *ad multos annos!*

Janusz Degler